ROK I. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM I SZKOŁA

№ 1. Warszawa. **TYGODNIK ILUSTROWANY.** 1 lutego 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA.



PREZYDENT RZPL. POLSKIEJ IGNACY MOŚCICKI.

Kiedy mówca wchodzi na estradę, upatruje sobie w tłumie słuchaczy choć paru takich, którzy nań patrzą i słuchają uważnie, mimowoli przytakując i reagując na każde słowo wyrazem twarzy i oczu.

Bo jakżeby mógł mówić o rzeczach ważnych i potrzebujących zrozumienia — mając przed sobą same obojętne, obce twarze?

Więc mówi tak, jakby mówił do tych uważnych, do tych słuchających. I wtedy może mówić dobrze. A cóż dopiero, jeśli cała sala słucha i reaguje!

Tak samo jest z pismem: ono też szuka swoich czytelników, którzy naprawdę czytają i w których znajduje oddźwięk. Listy do redakcji, uwagi, głosy czytelników tem są dla pisma, czem ci czujni słuchacze dla mówcy.

Bo pismo żyje dopiero w rękach swoich czytelników, a my chcemy, żeby nasze pismo żyło; żeby mówiło o życiu naszem i naszych dzieci, a więc o tem, co się na to życie składa: o domu, o szkole, o pracy, o naszym powszednim dniu, ciężkim od trudu, kłopotów, wysiłków i ciągłego pośpiechu, żeby wszystkie te sprawy załatwić, żeby ze wszystkiem wydążyć.

Właśnie o wszystkich tych sprawach mówić będziemy. Pragnęlibyśmy bardzo wnieść do nich jaknajwięcej pogody i życzliwości człowieka do człowieka.

REDAKCJA.

HELENA BOGUSZEWSKA.

NASZE ŻYCIE.

Prześlicznie zachodziło dziś słońce — śnieg był różowy, miękki, i jakby ciepły. Przypominał jakieś kwiaty, któreśmy widzieli w dzieciństwie, czy we śnie. Czy takie, których nie widzieliśmy nigdy, tylko czuliśmy, że mogłyby być.

A po zachodzie padły zimne cienie, śnieg zrobił się niebieski i twardy. Było cicho i mogłoby być dobrze.

Ale nie było. Nie widzieliśmy nawet tego zachodu, bo zasłaniały go nam domy. Wysokie domy śródmieścia, i odrapane domy przedmieść. Znajome—znajome.

Ale gdyby nam nie zasłaniały — też nie widzielibyśmy nic. Czyż to mamy na to czas? Czy mamy czas popatrzeć na niebo i śnieg, kiedy nie mamy czasu spojrzeć przed siebie i za siebie — na nasze własne życie?

Pędzimy przed siebie, gnani „mnóstwem spraw do załatwienia", zmęczeni trudem życia i ciągłym wysiłkiem, żeby się jakoś utrzymać na powierzchni. Już nie o przyjemności chodzi — tylko żeby się utrzymać na powierzchni.

Kombinujemy tak — i inaczej. Rozmaicie.

Dokoła nas huczy miasto, mali gazeciarze wykrzykują nagłówki zbrodni i katastrof, natłoczone tramwaje uciekają nam „z przed nosa" a my gonimy je, pchamy się, za wroga mając każdego, który się tak samo śpieszy i pcha. I dzień ucieka nam jak jeden wielki tramwaj ciężki od niezałatwionych spraw— tramwaj, którego już się nie dogoni.

Myślimy sobie: tylko żeby to, żeby tamto — potem będzie lżej, jakoś się ułoży, będziemy już żyli inaczej. Ale nic się nie układa, czas mija i wcale nie jest inaczej. Czas mija i w pewnej chwili okazuje się że jesteśmy już starzy i że na wszystko już jest zapóźno.

I że dzieci nasze, z któremi nie mieliśmy czasu porozumieć się, wyrosły już — niewiadomo jak i kiedy—na dużych ludzi — czasem obcych, którzy znów jakoś na swój sposób kombinują.

A jakiekolwiek są kombinacje — koniec jest zawsze taki sam.

Tak żyjemy. Taki jest nasz dzień, takie nasze życie.

Mówimy sobie: tak być musi, tak musimy żyć żeby się utrzymać na powierzchni.

Tak być musi? A przecież gdy między jednym a drugim dzwonkiem tramwaju zatrzymamy się w tym pościgu i zdobędziemy na chwilę spokój myśli, to najgłębszą warstwą duszy, tą zamkniętą przed zgiełkiem naszego dnia — poczujemy że tak być nie musi.

I że tak być nie powinno.

J. CIERNIAK.

NA GROMNICZNĄ

Tak się to już jakoś samo ułożyło w naszych dorocznych zwyczajach, że stare, nierzadko jeszcze pogańskie praktyki stopiły się z kościelnym kalendarzem w swoisty krąg obrzędowy, do dziś dnia tradycyjnie przestrzegany. A zwłaszcza poszczególne święta, ku czci Matki Boskiej obchodzone, przyozdobione są u nas przepięknemi ludowemi dodatkami i legendami.

Zwróćmy uwagę na zbliżające się święto Matki Boskiej Gromnicznej.

Ludowe przysłowie nas poucza, że „kto kocha Maryją, nie pyta się o wiliją".

Z nocą Gromniczną wiążą się legendy, jak wtedy wychodzą z lasów zgłodniałe stada wilków i zbliżają się ku ludzkim osiedlom i jak Matka Boska z gromnicą zstępuje w śnieżną zamieć na ziemię i zatrzymuje wilki na drodze, a ludziom krzywdy zrobić nie pozwala.

W samo święto wiejskie kobiety wychodzą rano i zabiegliwie baczą, czy wiszą obficie sople u strzechy, bo to dobra wróżba na urodę lnu.

Wybierając się zaś do kościoła na sumę, przygotowują sobie woskową świecę, t. zw. gromnicę. Idą do ogródka i z podśniegu wygrzebują zieleniutki barwinek, by nim i kolorowemi bibułkami ową gromnicę przystroić, a potem w kościele poświęcić.

Według zwyczaju przechowuje się ją w izbie za obrazkiem, ażeby była napodorędziu przy różnych okazjach życia człowieczego.



MATKA BOSKA GROMNICZNA.

Gromnice te mają w sobie niebylejaką moc ochronną. Przedewszystkiem, jak już sama nazwa poucza, gromnica chroni chatę od piorunów i dlatego w czasie nawałnic i grzmotów zapala się gromnicę dla odwrócenia burzy.

Następnie, gdy jesienią gospodarz wyjeżdża w pole, by w świętą ziemię rzucić pierwszą garść zboża, to czyni to z nabożeństwem i powagą, przy płonącej na miedzy gromnicy.

A i z wiosną, kiedy to po raz pierwszy po zimie wypędzają bydło na pastwisko, nie zapomina się o gromnicy, żeby ta Matka Boska nie dopuściła zarazy, i żeby się przecie chudoba darzyła.

Również początek i koniec żniwa odbywał się doniedawna przy gromnicy.

A wreszcie, kiedy życie człowiecze się już wyprzędzie i zbliża się chwila rozłąki z tym światem, podaje się konającemu zapaloną gromnicę.

Wkońcu dzień Matki Boskiej Gromnicznej jest dniem wróżby na przyszłość: jeżeli bowiem w tym dniu niema mrozu, to źle, bo będzie późna wiosna, a jeżeli mróz trzyma, to będzie wnet wiosna, a z nią nowe, młode życie.

Z PAMIĘTNIKA POCZĄTKUJĄCEGO NAUCZYCIELA.

Rok szkolny 1917/18 zastał mnie już nauczycielem.

Zaraz po opuszczeniu Seminarjum dowiedziałem się o wolnej posadzie w szkole powszechnej w Paruszkowie lub w Tygrysowie. Zgłosiłem się więc do dyrektora, który zarządzał dwiema szkołami powszechnemi w Tygrysowie i jedną w Paruszkowie. Wszystkie te trzy szkoły należały do Rady Głównej Opiekuńczej w Warszawie. Tygrysów i Paruszków leżą bardzo blisko siebie i niemal łączą się ze sobą.

Woźny oznajmił, że dyrektor jest bardzo zajęty w tej chwili. Wkrótce poprosi mię do siebie.

Ciekawa rzecz, jak wygląda ten dyrektor, który mię wkrótce poprosi do siebie? — pomyślałem sobie i natychmiast wyobraziłem sobie pana więcej niż w średnim wieku, urzędowego, ospale chłodnego i sztywnego, jakby długi kij połknął, pełnego uszanowania dla siebie samego, stawiającego kroki powolne, miarowe, poważne...

Gdy go zobaczyłem, doznałem nadzwyczaj miłej niespodzianki. Był tak ujmująco serdeczny, miał takie bogactwo i chyżość myśli, a zarazem tyle dobroci, że wyszedłem od niego zupełnie „zdobyty". Stanęło na tem, że będę prowadził IV oddział i rysunki w V-tym w Tygrysowie, oraz rysunki w II-gim oddziale w Paruszkowie.

Więc sprawa z dyrektorem została mile załatwiona, ale czy to już wszystko? Gdzie tam! Tu się dopiero coś zaczęło: dzieci, rodzice, koledzy—nauczyciele! Najważniejsze — to dzieci. A właśnie koledzy straszyli mnie, że te dzieci Tygrysowa i Paruszkowa, to element tak łobuzerski, że dzieci przedmieść warszawskich mają być wobec nich, jak anioły.

Niepokoiło mnie to bardzo — zwłaszcza, że przez cały czas w seminarjum miałem tylko dwie próbne lekcje z młodszemi dziećmi. Ale to były dzieci warszawskie, wcale do rzeczy. A te tutejsze? Kto wie co one mogą zrobić? Gdybyż tylko nauczycielowi zawiązały sznurkiem rękaw u wiszącego palta, lub żeby tenże rękaw podszewką do góry przewracały, toby było pół biedy. A jeżeli strzelą im do głowy daleko gorsze rzeczy, wobec których przybicie do ściany gwoździem wiszącego na niej palta lub posmarowanie klamki u drzwi smarowidłem od wozu — byłoby wyjątkowo niewinnym figlem?

No, zobaczymy, jak to będzie.

Oznaczonego dnia udaliśmy się z dziećmi do kościoła w Tygrysowie. Wpierw jednak wszedłem do swojej czwartej klasy, aby się zaznajomić z dziećmi, z przyszłymi moimi wychowankami — uczniami. Tu już zauważyłem, że aczkolwiek dzieci przy mojem pojawieniu się w klasie powstały w ławkach, to jednak widziałem aż nazbyt dobrze, że nie wszystkie uczyniły to z chęcią. Zauważyłem sporą gromadkę dzieci niechętnie dla mnie usposobionych. Poleciłem wszystkim usiąść. Niepodobam im się — myślałem. Jaka to szkoda, że im się niepodobam!... Jabym tak pragnął aby one wszystkie miały dla mnie sympatję—wyraźną sympatję—tak mi na tem zależy... a tymczasem widzę coś wręcz przeciwnego—i dlaczego, dlaczego?! Zwróciłem się do nich i powiedziałem, że wszyscy wspólnie udamy się do kościoła na nabożeństwo z powodu rozpoczęcia roku szkolnego.

W czasie, kiedy o tem mówiłem, któreś z dzieci niechętnej mi gromadki śmiesznie dziko zapiszczało. Aha — pomyślałem sobie wówczas — dzieci probują nowego nauczyciela! Pisk był jakby sygnałem: zaledwie się rozległ—wszystkie dzieci ryknęły głośnym śmiechem. Mimowoli spojrzałem na siebie, czy czasem dzieci nie zobaczyły na mnie czegoś ośmieszającego.

Przecież nie wiedziałem, dlaczego to któreś dziecko szkaradnie — śmiesznie kwiknęło, a wszystkie pozostałe się śmieją. Poczułem w sobie urazę do dzieci, która natychmiast przemieniła się w cichą złość. Jednocześnie poczułem wypieki na policzkach. Uczułem, że się zaczerwieniłem. To dzieci wyraźnie rozbawiło. Zaczęły się jeszcze bardziej śmiać.

Spostrzegłem się, że panem tego wszystkiego, co się dzieje w klasie jestem nie ja, lecz dzieci. Sprawiło im to ogromną przyjemność, że mię rozgniewało i ze złości zacząłem się czerwienić. Wprawiło mię to w jeszcze większe zakłopotanie—co wywołało nowy wybuch śmiechu—aż się pokładały na ławkach!

To mię rozbroiło zupełnie: momentalnie opuścił mię gniew, a porwał mię śmiech. Śmiałem się tak samo serdecznie, jak i dzieci. Wszyscyśmy się w klasie razem śmiali i cieszyli nie wiedząc dlaczego i po co? Niektóre z dzieci miały pełne oczy łez od śmiechu.

W końcu, gdy się wszystko uspokoiło wyprowadziłem je na podwórko szkolne, ustawiłem w czwórki i wyruszyliśmy do kościoła.

W kościele pilnie się przyglądałem zachowaniu się dzieci. Przyznam się, że nie byłem zachwycony. Podczas nabożeństwa dokazywały dzieci nietylko mojej klasy, ale i innych klas. Jedne drugim dawały kuksańce, szczypały się w uszy. Znów zaczepione odwzajemniały się pięściami, albo wcale niedwuznacznie głośno krzyczały: „proszę pani, lub proszę pana, Józiek się bije", albo: „proszę pana, Franek się szczypie w uszy", lub „proszę pana, Janek Ostrowski ciągnie się za włosy".

Trzeba było wchodzić między nie, wprost bezpośrednio w ich gromadę, zaprowadzać spokój.

Po nabożeństwie wróciliśmy wszyscy do klas. Po sprawdzeniu listy dzieci swojej klasy, okazało się brak kilku uczniów, których miałem poznać i przekonać się, co to są za numery... a zwłaszcza jeden z nich.

S. P.

JANINA STRZELECKA.

POSTANOWIENIE.

Mały Bronek z III-go oddziału pakuje wolniutko książki i zeszyty do obdartej, starej teczki, tak wolniutko, że aż matka zniecierpliwiona zakrzyczała, żeby się zbierał, bo do szkoły spóźni się napewno.

Bronek spuszcza głowę, twarzyczkę ma purpurową, po chwili cichym i nieśmiałym głosem mówi matce, że musi kupić parę kredek i gumę, a i zeszyt do polskiego już zapisany. Powiedziawszy to jednym tchem, skulił się, zasępił, bo przypomniał sobie, jak to wczoraj pani od rysunków gniewała się na niego, że znowu nie rysuje, że jeżeli następnym razem nie będzie miał wszystkiego, co potrzeba, to go odeśle do domu. Żebyż to Bronek się z panią szczerze rozmówił! Ale on milczał, jak zawsze, a pani myślała, że to przez złość. Więc chłopcy zaczęli mu na pauzie dokuczać, a kiedy wychodził ze szkoły, to Stasiek Terlecki, ten duży z ostatniej ławki, zakładał się z kolegami, czy Bronka „kopną za drzwi“ czy nie.

Malec myśli o tem wszystkiem i teraz oblatuje go strach, formalny strach, co to będzie dzisiaj na tych rysunkach, a właściwie więcej myśli o tem, czy Terlecki wygra ten zakład, czy nie.

I co to będzie za wstyd, jak mu każą iść do domu!

Patrzy teraz na matkę. Jeszcze raz prosi o te kilkadziesiąt groszy, zaczyna nawet, jąkając się ze zdenerwowania, opowiadać, jaka go przykrość spotkała, ale matka nie słucha, tylko... matka z wielką złością wypomina, ile to pieniędzy na „tę szkołę“ wychodzi, ile to na koło szkolne, a na te tam książki, bibuły, atramenty i t. d., ona pieniędzy nie kradnie, wszystkiego sobie odmawia; można się obejść bez kredek, a „oszczędniej“ pisać, aby zeszyty nie kończyły się tak prędko.

Bronkowi serce bić przestaje. Już wie, że pieniędzy nie dostanie, wie już teraz napewno, że Terlecki zakład wygra. Wkłada palto, bierze teczkę i wychodzi.

Słońce jasno świeci w lutowy dzień, jakby już z obietnicą wiosny, na ulicach gwar, ruch, pośpiech. Bronek idzie osowiały, prawie, że nic nie widzi, o mało co nie wpadł pod samochód.

Bronek myśli, myśli, dlaczego to w domu nigdy niema dla niego nawet na głupią stalówkę, czy gumę, nawet tych paru groszy na arkusz bibuły, a na wódkę naprzykład, to przecież zawsze są pieniądze. Przed niedzielą czy świętem to się nieraz nakupuje tej wódki, czasem i za siedm złotych, bo się schodzą a to wujostwo z Pragi, a to znajomi z Dobrej ulicy—siedm złotych na wódkę to nie żal choć w domu bieda i wszystkiego brak, a jemu dwudziestu groszy na zeszyt żałują...

A nieraz matka z ojcem do kina pójdą.—Bronek wie, że to też parę złotych kosztuje. A dla niego to nigdy niema. Niektórzy koledzy to i pieniądze dostają i mają scyzoryki z trzema ostrzami i pilnikiem, nawet czasem to i książki do czytania od rodziców dostają.

Bronek patrzy na takich z wielkim podziwem i szacunkiem. On przecież o tych wspaniałościach nie marzy — żeby tylko mieć, co do szkoły potrzeba, żeby tak się nie namęczyć, zanim się od matki tę dziesiątkę wydostanie i żeby takiego wstydu nie mieć w klasie, jak Pani gniewa się na niego.

Im bliżej szkoły, Bronek idzie wolniej. Zaczyna mu nawet być wszystko jedno, czy się spóźni, czy nie. Serce bije tak mocno, ręce drżą, zdaje mu się, że krople potu wystąpiły na czoło.

Już szkoła, słychać dzwonek. Bronek wchodzi do klasy i pierwsze słowa, jakie słyszy, są: „Kosiński, masz gumę i kredki? Bom się założył o papierosa, że ci matka forsy nie da“.

Bronek całkiem zdrętwiały idzie na miejsce. Czuje teraz żal, nie, to już nie żal, to gniew, że oto matka naraża go na to, co się teraz dzieje, na ten wstyd i na te kpiny — Bronek zaczyna się buntować, i nagle postanawia, tak, Bronek postanawia nie oddawać odtąd, całej reszty, jak go po sprawunki poślą, ale zaraz kupić, choćby na zapas, czego mu do szkoły potrzeba.

BOHDAN PAWŁOWICZ.

Z WĘDRÓWEK PO ŚWIECIE.

NA ZAGRODZIE POLSKIEGO KOLONISTY W PARANIE.

Było po długotrwałym deszczu, więc droga rozmokła, a lepka, czerwonawa glinka parańska lgnęła do opon samochodowych, że posuwaliśmy się wolno, coraz to przystając, bo motor się grzał i chłodnica parowała, niby samowar.

Nakoniec utknęliśmy w jakimś bajorze tak dokładnie, że nie było innej rady jeno trzeba było obejrzeć się za ludzką pomocą.

Na szczęście niedaleko miejsca wypadku stała wśród pól zagroda kolonisty, więc udaliśmy się obaj do gospodarza z prośbą o pomoc. Wrychle potem trzech tęgich, jasnowłosych parobków podkopywało

się pod samochód, a para tłustych i silnych szkap rwała postronki raz po razu.

Tymczasem gospodarz zaprosił nas do izby na mały poczęstunek. Chata była w sobie przysadzista, dość obszerna, zbudowana z pinjorowych bali i nazewnątrz starannie wybielona.

Izby dwie, szerokie i widne, po obu bokach sieni, z bezszybnemi oknami zamykanemi nocą na okiennice. Pod ścianami stały proste ławy, na środku tkwił stół obstawiony zydlami, a w głębi, na łóżkach piętrzyły się sterty poduszek zasobnie ułożonych i wygładzonych starannie.

Gliniane, równe klepisko zastępowało podłogę. Na ścianach wisiały obrazki świętych i czerniał nad łóżkiem krzyżyk, zaś wpodle drzwi duży portret „starokrajskiego" Kościuszki.

Potwierdziliśmy, więc pytał dalej z widocznym łakomstwem wieści o tem i owem, a gdy mu opowiadań nieposkąpiono, sam również rozgadał się na dobre.

— Ja to jeszcze w Starym Kraju rodzony, a do Branzylei ociec mę przywieźli dzieckiem w czas pierwszego ciągu narodu.

— To znaczy w siedemdziesiątych latach zeszłego wieku,—objaśniał półgłosem mój towarzysz.

— Ano beło drzewiej ciężko, barzo ciężko — mówił dalej gospodarz — wywieźli nas daleko w bór, pobudowali nama budy z gałęzi i, przez nijakiego borgowania, przez jenwentarza i nasienia, rób bracie, a to gołemi rękami.

— Aleć naród beł twardy i, chocia dzieciaków siła zmarło, harował ode świtu aże do nocy. Fojsów,



SZAŁASY KOLONISTÓW W PARANIE.

Izba była czysto wymieciona i posypana czerwonawym piaskiem.

— Podjedzta se, podjedzta! — zapraszał nas do stołu chłop i, wycierał zydle rękawem.

Człowiek był już w latach podeszły, lecz pełen krzepy i żywości.

— Naści wama fiżon[1]) ano ryż, ano ździebko mandjoki[2]), ano i szarka[3]) się znajdzie. —

Daliśmy się prosić krzynę, bo tak obyczaj każe, poczem ostro zabraliśmy się do jadła.

— Panowie rychtyk ze Starego Kraju przyjechali? — zapytał chłop ciekawie.

to je takich siekier na długich trzonkach, kiej kosy na štorc, nakupowalim i cielim las, że bez pół roku chto te bory beł znający, nijak niewydołał miejsca rozeznać.

Takeśwa cieli, a chto obrotniejszy to i gadzinę jedną, drugą od kaboklody[4]) utargował, a to z kobietami prosto w ziemię, na chtórej „rosę" spalono, powtykał fiżon i kukurydzę i przódzi chłodów, żarna już miał swojackie i krzątał się wedle klecenia chałupy.

— A co to jest „rosa"? — spytał mój towarzysz.

— Znać, że panowie tutka niedawno. Kiej się bór powycina, ostawia się go jaże zeschnie. Takuśki

---

[1]) Czarna fasola parańska. [2]) Rodzaj gryki. [3]) Suszone mięso. [4]) Brazylijscy ludzie leśni — miejscowi.

bór gotów pod ogień „rosą" się zwie, bo go się zapala, a kiej pogorzel strawi dobry karwas lasu, ostają się ino opalone drzewska, chtóre są większe.

Na popiele sadzi się libo fiżon, libo kukurydzę, libo sieje się pszenicę a to żyto.

Sadzi się zasię do kija, ano kijaszkiem ziemie się dziurawi, ziarnek nasypie i chodzi dalej.—

— I obradza? —

— Hale! Ino te „rosę" zapalać bez cztery lata, to nowy bór wyrośnie.

— Ziemia się jednak wyczerpuje—zauważyłem.

— Juści! Kiej grontu nie chwaci, a ziemia zjałowieje, bralim gnój rozrzucać, jako w Starym kraju, a latoś, co po starszych kolonjach chadzają pługi.

— Chwalić Boga na biedę narzekać nie możecie gospodarzu! — odezwał się jeden z nas, rozejrzawszy się po izbie.

— Rzekliście. Ino nie kużdemu przeciech tak się podarzyło. Namarnowało się narodu, Boże Święty, namarnowało, a marnacja owa poszła i z choróbstwa, i z bitwy, bo to indjany przódzi były kiele nas i kaboklada grodzić „portery"[1]) niepozwalała, że to ichniem świniakom, a škapom przeszkoda w telepaniu po lesie. Głód zasię niejednej bidocie we wątpiech hopki stroił, to i chłopy marły.

Tak ci naród nasz, katolicki, polski, tytłał się w tym obcym świecie, że ino ostało co barzej w sobie podufałe, a twardość i krzepe mające.

Tak opowiadał nam gospodarz, a myśmy słuchali go z uwagą i przejęciem zapomniawszy o jadle, które stało stygnąc na stole.

Miało się już ku zachodowi, więc słońce stało nisko ponad lasem, co się smukłemi masztami piął ku niebu i słonił wnętrze swoje przed uciekającą jasnością dnia koronami cedrów — samotników, gęstwą gałęzi imbuji i baldachimami pinjorów.

Niebo ubrało się seledynową sukienką, ubarwiło krwawemi wstęgami promieni i stało ciche i ciepłe nad obejściem, polem i puszczą, a ponoć i nad całym światem.

Zawarczał motor przed progiem.

— Komu w drogę temu czas! — rzekłem, wstając niechętnie z za stoła — Bóg wam zapłać gospodarzu, bywajcie! —

— Panie Boże dopomóż, a to zajrzyjta do starego. „Hautomowlem"[2]) kiejby ciepnął kamieniem. W drugą niedzielę „sepakujem"[3]) „herwę"[4]) i „safra", po tutejszemu żniwa, będzie, jaże ha!

TADEUSZ RADLIŃSKI.

DZIECI I SŁOŃCE.

Mała Upatak podniosła się z ławy. Wszak to dziś ten wielki dzień — dziś zobaczy Je o 12-ej w południe — na krótko wprawdzie, ale zobaczy. O jakżeby już Je zobaczyć pragnęła. Prędzej, prędzej... Stara Ukujok i mama Arasunas dawno się już krzątają nad kotłem. Już bucha z niego smakowity zapach zjełczałego tłuszczu, a płomień pod kotłem jest też większy, niż ostatnich dni, choć Upatak wie dobrze, że mało już jest tłuszczu do opalania chaty — no, ale w takim dniu, gdy ma się Ono po raz pierwszy pokazać, żałować tłuszczu byłby grzech. Wszak wkrótce rozpoczną się już letnie łowy, będzie tłuszcz, będą foki, będzie wszystko!

Żwawo krząta się Upatak, żeby dziś pięknie wyglądać. Naciąga ciepłe majtki z prześlicznej skóry foki, mające futro na obie strony i ciepły kaftan przecudnie obłożony rzadkiem futrem lisa polarnego z wypustkami z kolorowego sukna, sukna od tych dziwnych ludzi z dalekiego, dalekiego południa przybyłych. Dziwni to byli ludzie i tacy głupi, tak nic nie wiedzieli, co naprawdę jest warte wszystko! Mała Upatak doskonale pamięta, że gdy przybyli, żądali skór foczych, tak jakby to rzadkość była i za kilka dziesiątków takich skór dali dwa wspaniałe haczyki do wędki, butelkę palącej wody, kawałek mydła i jedną świecę. O jakże śmiano się z nich, gdy się oddalili! Upatak pamięta doskonale, że wszyscy starsi pili palącą wodę, a potem mówili takie dziwne rzeczy, byli bardzo weseli i oglądali cudowne haczyki do wędki, a ona — mała Upatak — dostała kawałek mydła. O! jeszcze dziś pamięta doskonały słonawy jego smak, gdy je zagryzała po cichu, położywszy się tego dnia na ławie. A potem codziennie po cichutku oblizywała ten kawałek, ale go całkiem nie zjadła i dziś w ten wielki dzień słońca, ma jeszcze malutki kawałeczek do smaku i kawałek świecy. Ale w taki dzień grzech czegokolwiek żałować i Upatak zje wszystko, jak tylko zobaczy o 12-ej w południe jego jasny, dobroczynny krąg, podnoszący się z za morza.

Pyszne dziś śniadanie. Upatak dostała pełen kubek gorącego tranu, w którym pływają kawałki łoju i kawałek zmarzłej wątroby z foki. Jej ojciec obiecuje ją zabrać na oglądanie słońca. Malutkiego Igijok też wezmą ze sobą. Mamusia wkłada go sobie w kaptur, sadza na ramiona i każe się mocno ściskać nóżkami za szyję. Mamusia dziś ślicznie się ubrała, a na nogach mamusi lśnią wspaniałe buty, bogato wyszywane rzemykami pomiędzy futrem.

---

[1]) Zagrody. [2]) Po portugalsku samochód: hautomowel. [3]) Tniemy, zbieramy. [4]) Brazylijską herbatę.

Już wychodzą. Upatak idzie ostatnia. Z trudem przepycha się pod zwojem skór, zasłaniających otwór. Bryłę lodu odsunął ojciec, czołgając się pierwszy na czworakach. Wypędził on psy na dwór i teraz słychać ich ujadanie i świst bata i skomlenie. Czołga się Upatak na kolanach, schylając główkę, wązkim korytarzem z lodu zbudowanym, służącym jako wyjście z chaty. Już są na dworze. Już jest szaro. Gwiazd niema. Upatak tak dawno nie wychodziła na dwór, że aż w głowie jej się zakręciło od świeżego mroźnego powietrza.

W szarej pomroce widać niewyraźne kształty w kapturze: to twarz ojca zaprzęgającego psy do sanek. Starsi bracia Unuk i Putak pójdą przy saniach na nartach. Właśnie nakładają je na nogi. Dziś biorą wielkie sanie. Siedem par psów już zaprzężonych — jeden na przodzie, to stary mądry Tok. Upatak lubi go, ale go się boi, bo ją raz złapał za rękę, gdy mu po obiedzie dawała wylizać swój kubek. No, ale trzeba już było wylizać, bo zanadto czuć go było. Tego żądał nawet nosek Upatak, przyzwyczajony do zaduchu w chacie.

Siadają. Unuk i Putak idą naprzód. Upatak wie dokąd pójdą. Pójdą na południe, tam, gdzie jest jaśniejsza szarość na niebie. Ale saniami dopędzimy ich szybko. Ich cienie rozpłynęły się już w szarym mroku, słychać tylko skrzypienie śniegu.

Choć dziś nie jest zimno, jest pewnie 30 stopni. Siedli. Upatak serce mocno bije. Słychać świst bata i charkotania gryzących się psów. Ruszyli. Dziewczynka przyciska się mocno do pleców matki i czuje przed sobą ciało braciszka, w kapturze na szyi matczynej siedzącego. Kochany braciszek. Możeby mu dać malutki kawałek świeczki z białej stearyny i kawałek mydła, jak już zobaczy Je w południe? Ale mydła jest tak mało, a Upatak tak je lubi. Nie, stanowczo zje sama! Maca się po futrze, gdzie spoczywa ten przysmak. Śnieg skrzypi i rozpylony uderzeniami łap pędzących psów, obsypuje ich białym tumanem. Pędzą. Zdaleka w szarym półmroku widać coś. Upatak czuje, że to tam. Tam są te skały lodowe nad brzegiem wielkiej wody, po której przyjechali ci dobrzy ludzie z południa. Szkoda tylko, że tacy głupi, że ich tak oszukano.

Pędzą. Pęd wiatru tamuje oddech. Para obłokiem unosi się nad zaprzęgiem psów. Futra i wszystko pokryte grubo na kilka cali warstwą szronu. Coraz to jaśniej się robi. Zdaleka, zdaleka, coś szarzeje we mgle. To bracia którzy wcześniej wyszli. Już ich mijają. Pochylone ich postacie na nartach suną szybko, lecz psy pędzą jeszcze prędzej. Upatak ze wzruszenia czuje, że w głowie jej się kręci i coś ją mroczy. Pęd wiatru w uszach jej huczy. Zdaje się Upatak, że to już lato, że przychodzą nad brzeg wielkich wód łowić foki. Widzi wielki umjak— łódź, na której przejeżdżają w ciągu jednej godziny szeroki kanał „wielkiej wody". Tam nad brzegiem pod górą jest już zielono. Upatak ze wzruszeniem podchodzi do drzewka. Jest ono wyższe od Upatak. Takiego wzrostu jak Arasunas, a może jeszcze wyższe. I te śliczne drobniutkie listeczki... Upatak tak kocha listeczki brzozowe. Pod drzewkiem rośnie zielona pachnąca trawa. Jak pięknie odbija ona od białego śniegu leżącego na szczycie pagórka. Z pod śniegu płynie bystry strumyk. Jak dobrze jest wyciągnąć się nad strumykiem, w zielonej trawie, a słońce świeci w same oczy. Upatak całuje zieloną trawę i przyciska swą towarzyszkę do ślicznej białej kory drzewka. Raptem brzózka chwyta ją swojemi gałęziami — szarpie, wywraca... Upatak budzi się... Jest już jasno. Sanki stoją. Wspaniałe skały lodowe wznoszą się nad ciemnym szafirem wielkiej wody. Lody otworzyły się i głęboka toń wody aż ciągnie do siebie. Ojciec i matka już wyszli z sanek i szarpią ją za kaptur — wstawaj, zaraz się pokaże! — wołają.

Upatak szeroko otwiera oczy i zeskakuje z sanek. Naokoło zastali dużo ludzi. Psy z saniami stoją, jeden zaprząg zdaleka od drugiego, żeby się psy nie pogryzły. Niebo jasne. Czuć, że zaraz coś się stanie wielkiego. Upatak chce skakać i tańczyć i już nie żałuje, że brzózka i zielona trawka znikły jej z oczu. Daleko nad wielką wodą, pokrytą wdali grubym potrzaskanym lodem, jasność się zwiększa. Ale to nie taka jasność, jak zorzy północnej. Niema tych barw ślicznych, tych zasłon, firanek kolorowych na niebie, lecz Upatak wie, że to, co się pokaże — to słońce, to życie, to wiosna!

Na wybrzeżu ruch. Unuk i Putak przygotowują kajaki i mają puścić się na wielką wodę, gdy tylko Ono się pokaże. Nie na polowanie — nie — tylko z radości w tym wielkim dniu — pierwszym dniu!..

Siedzą w kajakach. Śliczne kajaki. Upatak przypomina sobie, jak je robiono zeszłej wiosny. Na cienkich drewnach rozpinano skóry i zrobiła się łódź — śliczna, mała, zwinna łódź z otworem u góry, w której raz ją — małą Upatak — posadzono. Kaftan jej skórzany przytwierdzono do krążka w otworze, dano do ręki podwójne wiosło z dwiema łopatkami i brat ciągnął ją za rzemień, płynąc śmiało naprzód na drugim kajaku. A jak się Upatak bała! Ale nic nie powiedziała, choć małe jej serduszko zamierało ze strachu przed każdą falą wielkich wód, która białym pienistym grzbietem pokryta, szybko pędziła jedna za drugą na jej kajak. A jak strasznie było, gdy Unuk raptem, siedząc w drugim kajaku przed nią, razem z kajakiem wywrócił koziołka. Pamięta szare dno jego kajaka wśród ciemnej wody pomiędzy białemi grzebieniami fal. Zamarła wtedy ze strachu, a tu raptem Unuk, wywinąwszy w zimnej lodowej wodzie kozła, podniósł się po drugiej stro-



nie kajaka. Dzielny Unuk. I teraz razem z Putakiem przygotowują kajaki.

Coraz to jaśniej. Niebo czyste. Coraz lepiej znać jego błękit w południowej stronie. Nad widnokręgiem widać ciemny rąbek chmur. Jak biała przepaska futrzana na jaśniejącym coraz bardziej lazurze. Upatak serduszko bije mocno. Przytuliła się do matki i pokazuje biały rąbek chmur. Raptem aż krzyknęła z podziwu. Chmurka zapaliła się od dołu krwawym, jasnym kolorem. Cała już jakby krwią malowana. Wszyscy, stojący na wybrzeżu zamarli w oczekiwaniu. Coraz wyżej na niebie zapalają się purpurowe, jakby piórka jakiegoś ptaka, po jasnym błękitnym tle rozsypane. Już idzie — idzie — nadchodzi... Jeszcze chwila — może minuta — może godzina — Upatak nie wie sama, ile to trwać może — ale czuje że to już, już...

Nad samym widnokręgiem, zdala, gdzieś na zazębieniach białych, śnieżnych, lodowych zwałów nadchodzi coś — coś wielkiego — jakieś święto — jakieś szczęście. Już pierwszy jego blask ślizga się po białych taflach śnieżnych, martwych obszarów. — To słońce!

To radość tych ciemnych ponurych krajów, tych martwych pustyń — tej krainy mrozu i śmierci. To idzie wiosna, idzie życie, idzie radość — to słońce idzie.

Upatak drży cała ze wzruszenia. Wyciąga rączki do słońca. Łzy płyną jej po twarzy. Nie wie, co się z nią dzieje. Drżącemi rączkami wyszukuje kawałek mydła — ostatni kawałeczek — w futrze i zamykając oczy ze wzruszenia, wkłada je do buzi braciszka: „Zjedz ty Igijak, ja nie będę jadła — zjedz.”

Słońce już zeszło i oblało światłem swem małą Upatak, a choć za chwilę już jego głowa zniknie za widnokręgiem, Upatak wie, że jutro powróci...

Powróci wiosna, wróci zielona trawka nad strumykiem — zielone listki brzozy.

Upatak płacze ze szczęścia.

Z. STUDENCKI.

KĄCIK PORADNICTWA ZAWODOWEGO.

Tuż za progiem rodzinnego domu rozpościera się przeogromny ŚWIAT, pełen rzeczy nieznanych, czasami przyjaznych i radosnych, a często, niestety, zbyt często, pełen zmartwień, upokorzeń i krzywdy ludzkiej.

Kiedyś, będąc dzieckiem, spoglądaliśmy na ten świat pożądliwem okiem, jako młodzieńcy wyruszaliśmy na jego podbój w tem przeświadczeniu, że to dla nas świeci słońce, dla nas zakwitają najpiękniejsze kwiaty na drodze życia.

Mijały lata i bezlitośnie miażdżyły najlepsze nadzieje. Odsuwaliśmy się wówczas coraz bardziej od nieprzychylnego świata. Szukaliśmy ukojenia w miłości najbliższych, zapomnienia — w ciężkim mozole pracy. Przeogromny świat zmalał, zeszczuplał do rozmiarów własnego DOMU, w którym znaleźliśmy schronienie, zamknęliśmy nasze dążenia. Stworzyliśmy sobie rodzinę, zostaliśmy rodzicami. I oto wyrastają maleństwa, jedne tak przedziwnie do nas podobne, obciążone naszemi wadami, inne — zupełnie jakby od nas różne, obce — a wszystkie kochane. Odtąd zagnieżdża się w naszym domu nieustanna troska o ich dobro. W ciężkiej pracy zdobywamy dla nich pożywienie i odzież; walczymy dla nich o kawał miejsca pod słońcem, torujemy im drogę do lepszej przyszłości, niż ta, która nam w udziale przypadła. W tej pracy przychodzi nam z pomocą SZKOŁA. Ona dostarcza dziecku wiedzy, kształci jego umysł i charakter, przygotowuje je do życia. Lecz szkoła nie sprosta temu zadaniu, o ile dom rodzicielski z nią nie współdziała, tak samo, jak i dom rodzicielski bez pomocy społeczeństwa nie podoła w trudnej sprawie wychowania dzieci.

Otwierając „Kącik, Poradnictwa Zawodowego”, pragniemy mówić do tych, którym troska o los własnego dziecka spędza sen z oczu i nie daje spokoju. Chodzi tu o dzieci, trudne do prowadzenia, dzieci chore i ułomne, dzieci zdolne, a nie mogące z braku środków kształcić się dalej, dzieci zaniedbane, nie wiedzące, co z sobą robić. Może rodzice odezwą się na nasz głos, wyłożą nam swoje troski, by wspólnie z nami radzić nad losem swych dzieci.

O UBRANIA DLA DZIECI.

Jak i wielu innych czytelników tego pisma, byłam obecną na zebraniu sprawozdawczem z działalności komitetu „Gwiazdki“ dla niezamożnych dzieci szkół powszechnych. Komitet, powołany przez Radę Szkolną, a składający się z nauczycieli i opiekunów, zorganizował zbiórkę na odzież dla dzieci.

Najpierw odbyło się sprawozdanie: 50% dzieci szkolnych jest źle ubranych, 20% zgoła nie może chodzić do szkoły podczas silnych mrozów, poprostu niema w czem.

Żeby je ubrać, trzebaby okrągłego miljona zł. Komitet Gwiazdki z wielkim nakładem pracy i wysiłków uzyskał drogą zbiórki 100.000 zł. Za te 100.000 zł. — 760 dzieci dostało palta, 1520 dzieci—ubranka, 1520 dzieci—buty, 3800 dzieci—pończochy.

A reszta?

Reszta dalej marznie.



ROZDAWANIE UBRAŃ.

W części dyskusyjnej krytykowano sposób zbiórki i rozdziału ubrań — jak zwykle w takich razach.

Krytyka taka przynosi o tyle korzyść, o ile prowadzi do zmiany na lepsze i do lepszego zorganizowania na przyszłość.

Krytyką, jednak, samą dzieci nie ubierzemy, przedewszystkiem zaś, potrzeba jeszcze większego zbiorowego wysiłku, żeby osiągnąć większą sumę, bo dzieci marzną, a zima trwa.

Niechże matki, których dzieci są ciepło ubrane, pamiętają o tych zziębniętych, jeśli chcą, żeby i o nich pamiętano, jeśli zajdzie potrzeba. A nikt nie wie, jaki los go czeka!

Z. B.

ŚWIAT W PROMIENIU TYGODNIA.

Wielka wojna — wydawać się mogło tym, którzy jej straszliwe wypadki i skutki przeżyli — przynieść winnaby w logicznym dorobku swych dramatycznych doświadczeń nieustanną, wytężoną troskę o pokój.

Tak by się zdawało. I tak się chwilami wydaje, patrząc na arenę prac Ligi Narodów. Tak by się zdawało, a jednak wciąż jesteśmy świadkami zdarzeń, żywo zaprzeczających idei pokoju. Najgłębszy sarkazm współczesnych zabiegów dyplomatycznych o zapewnienie ludom świata pokoju polega na tem, że zabiegi te wydają rezultaty nikłe, podczas gdy obok nich, a nawet w ich łonie raz wraz wybucha płomień krwawych walk, zarzewie zbrojeń, obliczonych na inny układ mapy świata, której granice wewnętrzne przemazywać ma gaz trujący, pancerna łódź podwodna i śmiercionośny sztuczny ptak.

Tygodnie ostatnie przyniosły znów szereg wydarzeń naznaczonych krwawem znamieniem wojny.

TAJNY MEMORJAŁ GENERAŁA GROENERA.

Wspaniale funkcjonujący na całej kuli ziemskiej wywiad angielski odkrył ciemne karty zakulisowej gry „pokojowych“ Niemiec. Na łamach tygodnika angielskiego „Review of Reviews“ znalazły się rewelacyjne wiadomości, zaczerpnięte z tajnego memorjału niemieckiego ministra Reichswehry, generała Groenera.

Autentyczny tekst tego najściślejszego z aktów niemieckich jest dokumentem wysoce kompromitującym oficjalnie kolportowane nastroje pokojowe Niemiec. Prasa berlińska stwierdziła autentyczność tego osłupiającego dokumentu. Generał Groener omawia w nim zaborczą politykę państwa polskiego względem Prus Wschodnich i niemieckiego Śląska. Dla przeciwdziałania tym to jakoby wysoce niebezpiecznym zakusom polityki polskiej, Niemcy muszą się zbroić, muszą budować olbrzymie pancerniki wojenne i łodzie podwodne, fabrykować gazy trujące i konstruować olbrzymie samoloty, wyposażone w straszliwy ładunek bomb.

Memorjał zawiera dane, jak Niemcy przygotowują tę przyszłą wojnę z Polską pod względem propagandowym i militarnym. Na gruncie politycznym domagają się rewizji postanowień traktatu wersalskiego. Starają się zarazem pogłębić swe tajne związki z Rosją Sowiecką.

Na gruncie wojskowym dokonywane są przygotowania w sposób arcyprzejrzysty. Gen. Groener bez skrępowania omawia możliwości „obronne“ Niemiec. Możliwości te przewidują najazd niemiecki na Polskę oraz interwencję Niemiec na wypadek wojny Polski z Rosją.

W związku z temi zamysłami na wielką skalę prowadzona jest polityka zbrojeń niemieckich na lądzie i na morzu.

Zagraniczny wywiad angielski wystawił sobie wykryciem memorjału Groenera wspaniałe świadectwo swych niebywałych sił organizacyjnych i zdolności.

Jak się ustosunkuje do memorjału niemieckiego generała Liga Narodów — oto jest najbardziej interesujące z aktualnych zagadnień politycznych.

M. J. WIELOPOLSKA.

KINOKRONIKA.

PRZEDWIOŚNIE.

Doprawdy trudno orzec definitywnie, w jaki sposób ma kinematografja czerpać temat z literatury. Czy wybierać pośród tysiąca dzieł takie, któreby bez względu na swoje walory artystyczne, nadawały się „żywcem" na ekran. Czy przerabiać poemat, względnie powieść, tak, aby pierwowzory jak najmniej naruszać, t. zn. z całym pietyzmem dla samego dzieła, a z ujmą dla ekranu niewątpliwą — czy też poprostu zaznaczyć w pismach: „na temat powieści takiej a takiej" i, nie trzymając się zupełnie książki, stworzyć film wedle wszelkich kanonów ekranu. Sądzę, że, reżyserowie powinni się trzymać tego ostatniego. Mieliśmy dowody, jak fatalnie wyszedł obraz, gdy reżyser okazywał zbyt wiele pietyzmu dla dzieła, naprzykład *Pan Tadeusz* wyszedł paradoksalnie: oto byłoby już źle, gdyby film ilustrował tylko dzieło poetyckie — ale stało się jeszcze gorzej, bo Mickiewicz w tym wypadku ilustrował film. *Anna Karenina* Tołstoja, mimo świetności przeróbki, mimo najwspanialszych aktorów świata (Greta Garbo i John Gilbert) została odarta z idei przewodniej, tołstojowskiej, z całego podłoża społeczno-etycznego, a ostał się z niej tylko romansik pięknej i nieszczęśliwej Grety, z uroczym oficerem gwardji carskiej, Gilbertem. Udało się natomiast tołstojowskie *Zmartwychwstanie* jako przeróbka filmowa—a u nas *Przedwiośnie.* Jesteśmy tak skromni już w marzeniach naszych o rozwoju kinematografji polskiej, że cieszymy się najmniejszą zdobyczą. *Przedwiośnie* przedewszystkiem ujawniło nam dwie artystki, wybitnie ekranowe: Modzelewską i Jagę Borytę. To już jest dużo, zważywszy na straszliwe ubóstwo naszego zespołu artystycznego, filmowego. Dotychczas takimi typowo ekranowymi aktorami okazali się: Zbyszko Sawan, Walter, Kobusz, no i właśnie te dwie: Modzelewska i Jaga Boryta. W filmie *Lasy Polskie* wybili się statyści tylko: starzy żydzi, no i do pewnego stopnia Gotlibowa (służąca Brajła). Jak na przestrzeń kilkunastu lat rozwoju polskiej kinematografji, to trochę mało, jeżeli uwzględnimy, że jednakże podstawą sztuki filmowej, jest stworzenie sobie zespołu aktorskiego. Nie mieliśmy tego zespołu dotychczas, pozatem wyłoniło się jeszcze jedno niebezpieczeństwo dla wytwórczości naszej ekranowej. Mianowicie zaczynamy iść w kierunku fotograficzności. Piękno krajobrazu polskiego, tak bardzo fotogenicznego, gotowe zabić w nas poczucie istoty sztuki kinematograficznej, która zagranicą idzie coraz bardziej w kierunku filmu kameralnego. Krajobraz, cudowne plenery polskie, zakątki urocze naszych gór, lasów, zabytki wspaniałe naszej przeszłości, to raczej teren dla zdjęć tak zwanych „aktualności". Trzeba społeczeństwo polskie zaznajamiać z bogactwem własnego kraju, ale nie można przenosić tych dziedzin do zagadnień dramatu i komedji ekranowych. W *Przedwiośniu,* tak jak w *Panu Tadeuszu,* jak w *Dzikusce, Szaleńcach i Lasach Polskich,* nacisk główny położony na krajobraz, na fotograficzność i istotnie na tem polu film polski dał duże rezultaty. Zapomniano o ekonomji taśmy filmowej. Gdyby *Przedwiośnie* zaczęło się od powrotu



ZBYSZKO SAWAN.

panicza do dworu, odrzuciwszy cały otrzaskany już u nas motyw batalistyczny (zresztą doskonale ujęty) film byłby zyskał znacznie. Możnaby było poszerzyć momenty niektóre, tak się nadające jako punkty jaśniejsze ponurego tła (naprzykład niewyzyskany motyw dwóch ciotek). Nie wyzyskano artystycznych danych, np. balu. Przypomnijmy sobie co Turzański zrobił z balu w *Burzy.* Nie wyzyskano co gorsza, tak bardzo fotogenicznej idei „szklanych domów". Napisy niczego nie tłumaczą. Pozatem okazało się raz jeszcze, że to co upiększa bogactwo języka, cudowność feerji stylistycznej, głębia filozoficznych i psychologicznych rozmyślań, to jako treść scenarjusza filmowego, staje się banalnością i zwyczajną kryminalistyczną sensacją. Naprzykład scena sypania trucizny przez Wandę Karolinie... Okrasza tę banalność jeszcze szablon symbolików. Wiemy wszyscy, że zwycięstwo nad Bolszewikami zawdzięczamy Marszałkowi Piłsudskiemu—

pocóż więc ten Jego cień na niebie, kiedy generały radzą nad mapą terenową? Poco pies wyje do księżyca w medaljonie, kiedy umiera Karolina? a trupia czaszka pływa nad polem bitwy? Trzeba się wystrzegać tych banalności. Nie trzeba iść po linji najmniejszego oporu i liczyć na brak inteligencji i krytycyzmu naszej publiki. Już dzisiaj jest ona dostatecznie nakarmioną prześlicznemi filmami zagranicznemi, już dzisiaj dość ją nafaszerowano krajowemi wyrobami, zasadzającemi się na ułanach, orzełkach, atakach kawalerji. To nas wzruszało, to nam zamykało usta, ale mamy już dość. Chcemy wysiłku naprawdę twórczego i naprawdę fachowego w dziedzinie filmowej. Rząd musi nam dopomóc w sprowadzeniu reżyserów zagranicznych, którzy pouczyliby naszych samouków i stworzyli kilka pokazowych, doskonałych obrazów na gruncie polskim. Potem, szłoby już wszystko wartko i celowo ku wielkiemu zbytowi krajowemu i zagranicznemu.



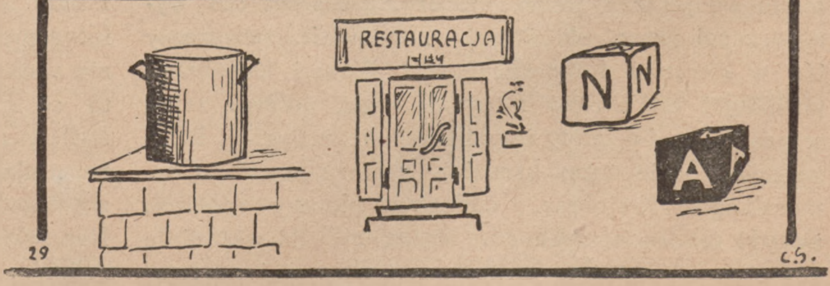
MISS POLONJA.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

REBUSIK uł. p. Walerjan Waryszewski.



REBUSIK uł. p. Czesław Gołębiowski.



Adres Redakcji i Admistracji: Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji 163-32, Tel. administracji 517-35.
Redakcja otwarta codziennie od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. --,95. Kwartalnie Zł. 2,85, Półrocznie Zł. 5,70, Rocznie Zł. 11,40

Zakłady Graficzne „WUZET"—Miodowa 23, Tel. 140-17.